ROK II. Nr. 44 (93) Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. 2 listopada 1930 r.

7 DNI

CENA 50 GR

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



ADAM BRODZISZ w roli Sępa w filmie dźwiękowym „NA SYBIR" („Płomienne serca").
(fot. Dorys). PREMJERA W KINIE „APOLLO".

PAWEŁ AGIZIM.

NAD GROBEM PAN-EUROPY

Prasa francuska doniosła przed paroma dniami o chorobie ministra Brianda po powrocie z Genewy. Redakcja „7 Dni" składając wyrazy szczerego współczucia Napoleonowi słowa duła, iż wspomniana niedyspozycja nie stoi w żadnym związku z ostatnią batalją, stoczoną przez współczesnego Don-Kichota na forum Ligi Narodów w obronie Pan-Europy.

Z pośród wielu projektów, które mają na celu usunięcie straszliwego brzemienia ostatniego kryzysu, ciążącego nad spauperyzowaną Europą, na czoło wszystkich wysunęła się briandowska koncepcja Pan-Europy.

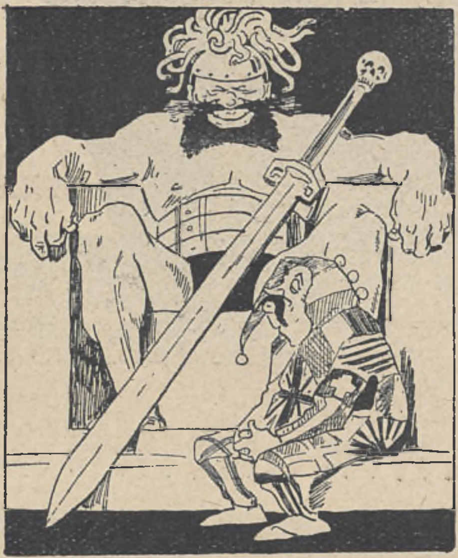
Nazwę tej idei ukuł wiedeński hrabia Condenhowe-Calergi, właściwy twórca i propagator wspomnianej koncepcji. Ale, jak to zazwyczaj bywa, dzieło nieznaego artysty wymaga możnego protektora, gdyż tylko odpowiednia etykietka potrafi stworzyć popularność, a co za tem idzie — popyt. Z tego też względu prelekcje pacyfizującego arystokraty we wszystkich stolicach kontynentu pod obiecującą nazwą „Pan-Europa" nie znajdowały do niedawna głośniejszego oddźwięku ani w szerokich masach, ani (co gorsze!) wśród międzynarodowej dyplomacji.

Rzecz uległa zasadniczej zmianie, gdy ją zaadoptował Arystydes Briand. Skoro tylko kierownik francuskiej polityki zagranicznej położył podpis pod czekiem Pan-Europy, natychmiast akcje jej ujawniły tendencję zwyżkową i do niedawna mało popularna, trącąca sentymentem fantasmagorja — odrazu znalazła się na porządku dziennym genewskiego areopagu.

Już samo wypłynięcie mocno utopijnej koncepcji na wokandę światowego trybunału było nielada sukcesem politycznym Brianda. I na tem właściwie się kończy... Oto bowiem jedenasta plenarna sesja Ligi Narodów, postawiła krzyżyk na całej koncepcji, skierowując ją z honorami do specjalnego komitetu studjów, który zostanie prawdopodobnie sarkofagiem pięknobrzmiącej briandowskiej inicjatywy. Że każdemu znakomitemu nieboszczykowi należy się wspomnienie pośmiertne, czasem słów kilka, a czasem większa autobiografijka, w której autor usiłuje wyprowadzić ród czcigodnego „truposza" conajmniej od... Adama — zmarłej w kwiecie wieku Pan-Europie także należy się karta żałobna.

* * *

Briandowska idea Stanów Zjednoczonych Europy nie jest ani nowa, ani oryginalna. Koncepcja federacyjnego węzła państw europejskich bierze swój początek (rzecz charakterystyczna!) we Francji, ojczyźnie Brianda. Wobec faktu, że twórcą jej był w XVII wieku Francuz, Sully, znakomitym zaś kontynuatorem również — francuski kanonik, ksiądz de Saint Pierre, że wreszcie dziś kopje w jej obronie kruszy jeden z największych mężów stanu, Francuz, Briand — nie wahamy się twierdzić, że koncepcja ta jest tworem rdzennie galijskiego idealizmu, będącego specyficznie francuskim melanżem wytrawnego kunsztu politycznej trzeźwości i romantycznego sentymentu.



Mars. — No i co nowego, panie Briand? Briand. — Francja składa broń „zapewniwszy sobie pokój... *(Kladeratatsch).*



Plajta Pan-Europy. (Zanotowano w ub. roku zgórą 900 upadłości w jednej Francji). Największa plajta... (Guezin Meschino, Milano).

Najbliższym współczesnej idei Pan-Europy jest projekt francuskiego ministra, księcia Sully, słynnego reformatora w dziedzinie agrarnej i doradcy sławnego protoplasty Burbonów, Henryka IV. W projekcie Sully'ego Europa ma utworzyć federację państw, pod warunkiem zachowania i uszanowania przez związek suwerenności każdego państwa-członka. Jeśli zważymy, że projekt ten powstał przeszło 300 lat temu i że już wtedy autor kładł specjalny nacisk na warunek zagwarantowania każdemu z członków *pełnej suwerenności* — dojdziemy do przekonania, że trzy stulecia nie przyniosły w tej dziedzinie nic nowego i że w XX wieku stoimy na tem samem stanowisku, na którem stał wiek XVII.

Jest rzeczą charakterystyczną, że również i pod innym względem projekt Brianda popełnia ten sam błąd zasadniczy, co i projekt Sully'ego. Mianowicie „węzeł federacyjny" ma być utworzony bez Rosji i Turcji. Atawizm dziejowy jest tym wrogiem narodów, który niweczy wszelką celowość historji — wielkiej narratorki błędów ludzkich. Arystydes Briand powtórzył błąd swego poprzednika z przed 300 lat i na konferencję pan-europejską nie zaprosił ani Rosji, ani Turcji.

Faszystowska Italja, która odrazu zajęła nieprzychylne stanowisko dla idei pan-europejskiej, słusznie wietrząc w briandowskiej koncepcji prymat Francji w przyszłej federacji, odrazu zażądała w odpowiedzi na memorandum Brianda zaproszenia tych dwuch państw na konferencję.



— Pochód pod wodzą starego druha.



— Zabierz mi koszulę!...

O co chodzi? Czyżby Mussolini miał być owym korektorem historji, który w przyjacielski sposób zwraca uwagę Brianda na ważne przeoczenie w jego inicjatywie?

Nic podobnego! „Il duce" chciał poprostu skompromitować całą akcję francuskiego ministra, wysuwając żądanie zgóry nie do przyjęcia, gdyż jeśliby Briand zgodził się ostatecznie na Turcję, to ze zrozumiałych względów zaprotestowałby przeciw propozycji przyjęcia do grona kapitalistycznych państw europejskich robotniczo-chłopskiego Związku Radzieckiego.

Czyż można jednak wyobrazić sobie federację pan-europejską bez państwa, które geograficznie zajmuje niemal 1/2 powierzchni Europy, a demograficznie 1/3 zaludnienia europejskiego kontynentu? Spychanie Rosji drogą teoretycznej koncepcji z Europy do Azji nie może wyjść niestety poza krąg pobożnych życzeń teoretyków wszelkiego utoramentu. Na tem stanowisku, stanęła faszystowska Italja, której przecież nie można posądzić o sentyment dla Związku Radzieckiego. Na tem stanowisku poparła ją Rzesza Niemiecka. A więc opozycja antibriandowska zyskała 2/5 głosów w Radzie Ligi, z pośród jej stałych członków.

Niezrównany taktyk polityczny Briand, ominął zręcznie tę rafę podwodną przez związanie idei pan-europejskiej z Ligą Narodów, przez co wytrącił opozycji dotychczasowy argument ,albowiem Rosja i Turcja są wprawdzie państwami europejskiemi, ale za to nie są członkami Ligi. Świetny żongler uratował swoje pierwotne założenie, ale tem cięciem zgotował grób samej idei. Albowiem przez oddanie dalszych losów Pan-Europy do archiwów Ligi — cała sprawa tem samem zostaje odłożona *ad calendas graecas*.

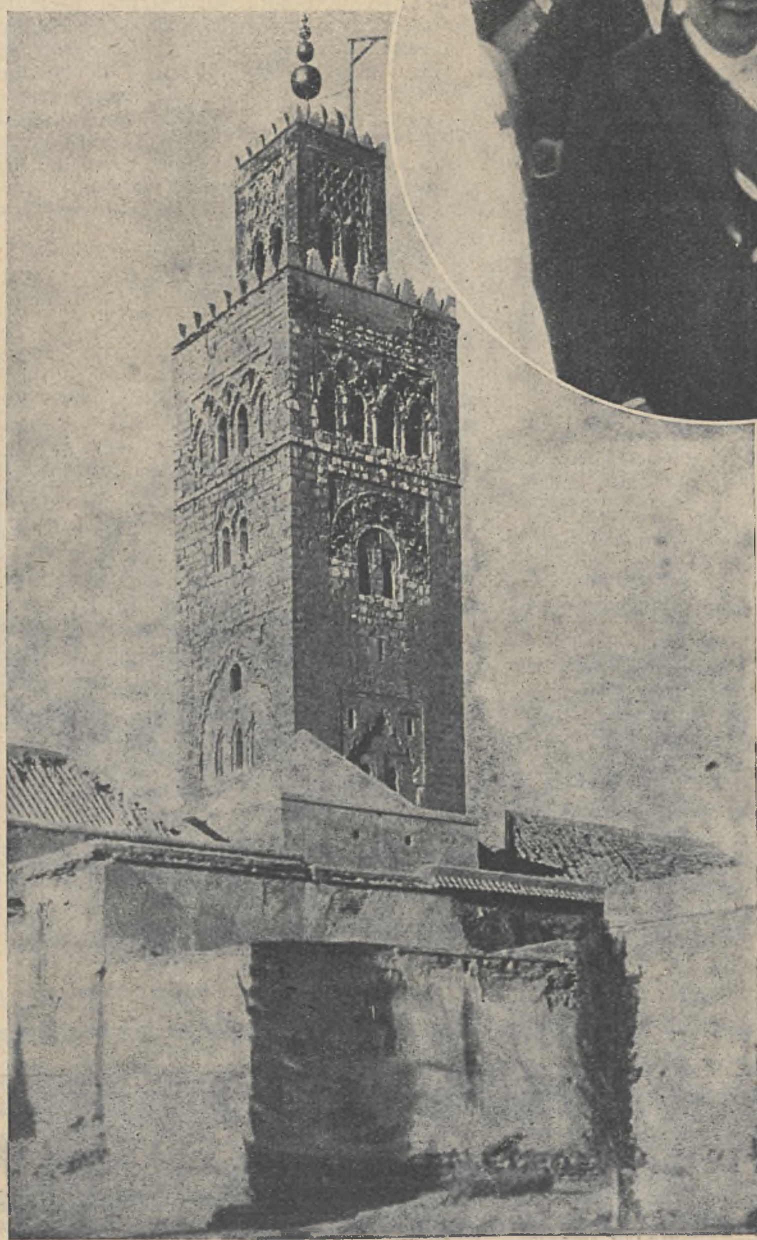
Nie jest to jednk jedyny szkopuł w realizacji Pan-Europy. Chodzi o to, że briandowska inicjatywa napotkała gwałtowny opór również od „wewnątrz" t. zn. we Francji, gdzie jej stanowczo przeciwny jest sam premjer Tardieu, a pozatem cał prasa prawicowa. Docinkom i kpinom niema końca. Ostatni pomysł ideologa Pan-Europy dał bogate pole do popisu międzynarodowej karykaturze, która chętnie parodjuje w krzywem zwierciadle satyry powodzenia, jeszcze chętniej jednak — fiasko. Polityk tak wnikliwy, szermierz tak wytrawny, praktyk tak doświadczony, jak Arystydes Briand, powinien był przewidzieć tę okoliczność, że projekt tak gruntownej rekonstrukcji Europy rozwiąże języki wszystkim malkontentom obecnego status quo, od których aż roi się w powojennej Europie. Ci zaś powiedzą: „Braterstwo ludów — to potem, najpierw — rozrachunek!" Tak rzekła Rzesza i niedwuznacznie zaproponowała rewizję pewnych granic, tak rzekł Mussolini i całkiem otwarcie zerknął w stronę francuskich kolonij. Henderson niczego nie zażądał, ale koledze Briandowi uprzejmie zwrócił uwagę na pewne rozbieżności, zresztą tylko „proceduralne", tez francuskiej i angielskiej.

Tak tedy skończyła się krótka idylla paneuropejska. Operacja się udaał, ale chory... umarł. Specjalna komisja studjów, w której złożono niefortunny projekt Arystidesa Brianda, stanie się prawdopodobnie trumną Pan-Europy, w której ta francuska idea została pogrzebana na wieki, jak nas zapewnia prasa... francuska. Jako szacowny zabytek, zajmie i ta idea poczesne miejsce wśród eksponatów archiwalnych muzeum Ligi Narodów, gdzie tyle innych poronionych projektów znalazło wieczny spoczynek.



PODRÓŻ PREZYDENTA FRANCJI W GOŚCINĘ DO SUŁTANA MAROKAŃSKIEGO





Przejazd Prezydenta z „Colberta" marokańską barkassą do portu w Casablance.

Powitanie Prezydenta przez Sułtana.

Minaret w Kutubla, pochodzący z XII-go w., który zwiedził Prezydent w towarzystwie Sułtana.



Słynny pisarz francuski, Paul Morand, którego notatki z podróży po całym świecie są rozchwytywane ze zrozumiałem zainteresowaniem, bawił przez kilka dni w naszej stolicy



Mimo różnych przeciwności losu, jakie przynosi polityka, premjer francuski, Tardieu, nigdy nie traci dobrego humoru.



Inż. Hilchen, członek rady portu gdańskiego i wybitny znawca naszej polityki morskiej, został mianowany dyrektorem departamentu morskiego w Min. Przem. i Handlu.

Śladami kretów

Zdemaskowanie sowieckiej organizacji szpiegowskiej, która do niedawna operowała na terytorjum Rumunji przy udziale kilku wyższych urzędników i wojskowych rumuńskich... z szefem bukaresztеńskiej policji na czele — znów obudziło powszechną czujność dla tych spraw. Coś się dzieje — krecia robota jednych przeciw drugim trwa bez przerwy i jedno jeszcze, że niektóre państwa przypisują tej strasznej broni większe znaczenie, nie szczędząc na nią żadnych środków, inne zaś niesłusznie ją bagatelizując lub czując wstręt do ciągłej agresywności — ograniczają się do obrony.

A krecia robota trwa bez przerwy...

I co najciekawsze, że mimo powszechną odrazę, z jaką traktowane jest szpiegostwo, publikacje fachowe, jak naprzykład kapitalne dzieło niemieckiego pułkownika Nikolai, lub pół fachowe rewelacje Jacques Montane'ów, Desgranges'ów i Boucard'ów, a wreszcie zgoła fantastyczne powieści Oppenheim'ów — cieszą się niesłychaną poczytnością.

Bo wszyscy, mimowoli, drżymy na myśl, iż krecia ta robota może doprowadzić do rozpętania się nowej zawieruchy i że, niestety, najwaleczniejsze nasze poczynania tam, kiedyś, na froncie, mogą być obrócone w niwecz dzięki potężnym mackom wywiadu i dywersji.

Oto kilka przykładów z dziejów wielkiej wojny.

Pewien oficer fransuski wysłany jest do Holandji. Pan porucznik skrupulatnie przesyła raporty do swego sztabu i jednocześnie zajmuje się handlem. I to jakim!... Dzięki szeregowi nader trudnych wobec blokady dostaw do Niemiec, zdobywa sobie zaufanie nieprzyjaciela, a w r. 1918 zostaje nawet członkiem komitetu rewolucyjnego. Przenosi się do Niemiec, gdzie wznieca bunty w wojsku, przyczyniając się tym sposobem do rozkładania sił wroga.

Inna historja. Agent francuski, zapisany pod cyfrą C. 25, symuluje dezercję z wojska. Ucieka przez granicę hiszpańską, z narażeniem życia, gdyż straż doprawdy strzela, nie na żarty. W Hiszpanji zdobywa sobie zaufanie tak zwanego „Sztabu Pięciu", który wykrada z Francji dokumenty wojskowe i ułatwia dezercję. C. 25 podejmuje się jeszcze ryzykowniejszego przedsięwzięcia: oto wykrada z jednego z więzień francuskich niemieckiego księcia, ukrywającego pod przybranem nazwiskiem swoje pochodzenie, gdyż schwytany został na gorącym uczynku szpiegostwa. Ucieka z nim do Hiszpanji, skąd obaj, łodzią podwodną, przedostają się do Niemiec. Oczywistą jest rzeczą, iż C. 25 zostaje najbliższym powiernikiem księcia, dzięki czemu może zajmować się, nie ściągając na siebie podejrzeń, reorganizacją francuskiego wywiadu na nieprzyjacielskiem terytorjum. Dokonawszy wreszcie tego dzieła, ucieka do Francji.

Podczas, gdy słynna Mata Hari odgrywa rolę podwójnego agenta, raz służąc Francji,



Oryginalny korowód kołowej policji italskiej defiluje z fanfarzystami na motocyklach przed Mussolinim.

przedtem zaś Niemcom, gdzie była zapisana pod literami H. 21, głośna aktorka francuska, przemiła i wiecznie młoda Mistinguett, pracuje dla wywiadu na terytorjum hiszpańskiem, a Anna Marie Dresser, znana jako „kobieta lekarz", wyświadcza niesłychane usługi Niemcom, przynosząc im jeszcze przed wojną szereg cennych dokumentów, odnoszących się do linji obrcny granic i do najnowszych modeli uzbrojeń, a podczas wojny — listę agentów francuskiego wywiadu na niemieckiem terytorjum, plan obrony Duwru oraz kontrofensywy Aljantów w r. 1918. (Anne Marie Dresser uniknęła kary, mimo iż cały wywiad aljancki stale ją poszukiwał, los jej wszelako jest może bardziej żałosny, gdyż do dziś dnia dogorywa w szwajcarskim zakładzie dla umysłowo chorych).

Przygody tragiczne, niebezpieczne, wprost niewiarygodne, jak z bajki...

O tem zaś, jak wielkiego ta służba wymaga hartu i poświęcenia, dowodzi chociażby głośna w czasie wojny sprawa kapitana Ledoux, który, stojąc na czele wydziału prasowego sztabu, postanowiwszy na własną rękę nawiązać kontakt z wrogiem i zdemaskować pewną jego organizację, działającą na tyłach — udaje w tym celu zainteresowanego w pośredniczeniu przy sprzedaży jednego z większych dzienników stołecznych w obce ręce. Ryzykownego tego przedsięwzięcia ledwo nie przypłacił hańbiącym wyrokiem sądu.

Niemniej z pewnością musiał pasować się z własnem sumieniem. Niemiec, Aleksander Szek, który przyczynił się poniekąd do wciągnięcia Stanów Zjednoczonych do wojny, wydając w ręce Anglików szyfr słynnej noty Zimmermana z r. 1917 i do zdemaskowania planu porozumienia niemiecko - meksykańsko - japońskiego przeciw Ameryce. Aleksander Szek dał się namówić do tej niebezpiecznej gry przez sentyment dla matki i dla żony — obu z pochodzenia Angielek, o czem dowiedziano się w londyńskiem Intelligence.

Jakiemi pobudkami kierują się agenci, którzy wstępują na tę niebezpieczną drogę? Trudno odpowiedzieć na to pytanie i dlatego właśnie niełatwą jest rola oficera wywiadu, który, będąc zmuszonym do ciągłego werbowania ludzi na służbę, może kierować się jedynie intuicją, głębokiem wyczuciem psychologji ludzkiej. Bo jeśli jednych można skaptować przez wpojenie doniosłego znaczenia tej pracy dla Ojczyzny, to innych (mowa w danym wypadku o kobietach) można znów wciągnąć przez sentyment; inni znów żądni są przygód, a jeszcze inni — zysku i użycia. I na tem właśnie polega cała trudność. Agent staje się łatwo przedmiotem przetargu, a często pobiera jednocześnie zapłatę z kilku stron, podsuwając to tym, to innym swoim „kontrahentom" zmyślone informacje.

Lecz czy naogół pieniądz odgrywa w danym względzie główną rolę? Praktycy, którzy niejednokrotnie mieli do czynienia z tym ciekawym materjałem ludzkim, twierdzą, że nie. I na dowód tego przytaczają nawet cyfry zarobków najsłynniejszych agentów jak np. Mata Hari, która, prowadząc z konieczności niesłychanie wystawne życie, nigdy nie otrzymała więcej nad 15.000 dolarów; pewien agent niemiecki, pochwycony na gorącym uczynku próby zamachu na gmach Inwalidów w Paryżu, przyznał się, że otrzymał zaledwie 100 dolarów.

Coś w tem jest nieuchwytnego. Niezrozumiała ta mentalność nie da się doprawdy ująć w żadne ramy teorji...

Ciekawym wszakże szczegółem do zanotowania jest to, że ludzie różnej narodowości rozmaicie dają się przekonać do służby w wywiadzie. Najłatwiej reagują tu Niemcy — dzięki wrodzonej dyscyplinie; Japończycy, a każdy z nich niemal skrupulatnie bada wszystko, co widzi dookoła — kierują się patrjotyzmem, posuniętym do najwyższych granic poświęcenia; Anglosasi widzą w wywiadzie pewien sport, miłe, łechcące ich ambicję, ryzyko.

W każdym bądź razie nikt nie zaprzeczy, że służba to nader ciężka i niebezpieczna, a zarazem niewdzięczna, gdyż jeśli mowa nawet o zawodowych oficerach — wszelkie zasługi, choćby największe, pozostają z konieczności bez wyróżnienia, a najpewniejszą nagrodą — są stargane do końca życia nerwy...

Święto zmarłych w Japonji



Dostojnik japoński zapala kadzielnice podczas obchodu żałobnego.

Zapach zwiędłych liści tak charakterystyczny dla cmentarzy. Wilgoć i smętek porannej mgły jesiennej, z której słońce, ukryte hen za szarą kotarą chmur, nie zdołało jeszcze wypić srebrnych łez porankowego szronu...

Poszum zimnego wiatru, przelatujący ponad czarnemi wierzchołkami szmaragdowych niegdyś drzew... Oto zazwyczaj ziemska, materjalna oprawa głębokiej treści przedziwnego dnia święta umarłych.

Dzień Zaduszny...

Wiele legend i wiele wierzeń powiada, że jest to pora, w której ziemia nasza i świadomość nasza znajdują się najbliżej strefy przebywania zmarłych. I dlatego to podobno wówczas myśli nasze o tych ,co odeszli, najprędzej do nich przenikają. Czy wezmą na siebie skrzydła serdecznego westchnienia, czy wyrażą się prostemi a tak wzruszającemi słowy pacierza, czy też ucieleśnią się w prastarym, przedchrześcijańskich czasów sięgającym obyczaju, złożenia na mogile ofiary z jadła, kwiatów i zapalania światła —

„Jutro pójdziem na cmentarz, ty swoim
zwyczajem
Dumać, ja zdobić krzyże kwiatami
i majem...“

lub też:

„W cieniach wieczności jaśniej błyszczy
się ta świeca,
Niż tysiąc lamp w niechętnej palonych
żałobie;
Jeśli przyniesie miodu plastr i skromne
mleko,
I garścią mąki grobowiec posypie...“
(Mickiewicz).

Świat chrześcijański święci swe „Dziady“ w chwili największego smutku przyrody. Słychać już, zbliżające się po zamarzłej ziemi, upiorne dudnienie Śmierci—Zimy. Ta właśnie koincydencja nadała niesłusznie świętu mówiącemu o promienistości wiecznego życia, ponury charakter rozkładu i trwogi przed czarną nicością, wyrażającą się w symbolicznej mowie czarnych kirów, welonów i ponurej pompie pogrzebowej.

Wiele już lat minęło od chwili, gdy kwieciste wybrzeża Japonji zniknęły mi z przed oczu. Wiele już lat upłynęło, odkąd tak sympatyczny dla mnie okręt „Hou-zan-Maru“ wiózł mnie przez mętne fale japońskiego morza ku zimnym pagórom Władywostoku. A jednak nigdy nie zapomnę, jaką rewelacją stało się dla mnie zrozumienie, że w krainie „Wschodzącego Słońca“ pogodną i kwiecistą jest nietylko przyroda, nietylko uśmiech ludzi, ale i myśl ludzka o tem, co zostało nazwane końcem życia. Rzadko który kraj o cywilizacji europejskiej żyje do tego stopnia pod znakiem „Dziadów“, jak Japonja. Główną przyczyną tego są oczywiście obie religje, wyznawane przez Japończyków: Shinto i Buddaizm. Religją państwową w Japonji, o wiele starszą od Buddaizmu jest Shinto, którego pierwotna nazwa brzmi kami-no-michi (droga bogów). W Shinto skoncentrowało się całe życie uczuciowe rasy — jest ono duszą Japonji. Istotę tej religji stanowi cześć oddawna zmarłym. Wszystkie jej bóstwa to duchy, a wszyscy zmarli stają się bóstwami. W człowieku żywym promienność, świetlistość, wieczna radość, dobroć i czystość drzemią potencjalnie, a nauczycielem i kapłanem winno być według wyznawców Shinto własne serce człowieka. Niema więc dnia, w którymby Japończyk nie komunikował się ze zmarłymi. Właściwie mówiąc „ze zmarłymi“ jest złem wyrażeniem, gdyż śmierć jako *koniec* nie istnieje dla wierzącego Japończyka.

Najpiękniejszym wyrazem tej pogodnej wiary jest ołtarz przodków, znajdujący się w każdym domu bez względu na to, czy zachowują tam tradycję Shinto czy Buddyzmu. Nie zapomnę nigdy, z jakiem wzruszeniem oglądałem po raz pierwszy taki ołtarzyk w pewnym skromnym japońskim domu. Właściwie mówiąc nie jest to ołtarzyk, a prosta biała niemalowana skrzyneczka „kmidana“ z deseczek żywodrzewu (Thuya obtusa) *bez gwoździ metalowych*, spojonych tylko kołeczkami lub klejem z mąki ryżowej. Ozdobne ołtarzyki spotykane często u bogatych kupców nie są bynajmniej w duchu Shinto. Skrzyneczki te są umieszczone parę stóp nad ziemią, frontem na wschód lub południe. „Kamidana“ ustawia się zazwyczaj w zacisznym pokoju, aby jej nie narazić na żadną przypadkową profanację. Na skrzynce umieszcza się często parę „ofuda“ (arkusiki ze świętemi tekstami), rzadziej zwierciadło (symbol bóstw żeńskich), a po obu stronach dwa dzbany dla ofiary z wina ryżowego, dwa wazoniki z kwiatami i lampkę oliwną, z prostej czerwonej glinki, w której pali się światło każdego pierwszego, piętnastego i dwudziestego ósmego.

Najcenniejszy przedmiot kultu znajduje się jednak w samej skrzyni. Zapełniają ją „ihai“. Są to drewniane tabliczki, na których ozdobnemi literami wypisano po jednej stronie imię, które zmarły otrzymał po śmierci, a po drugiej zwykłe imię ziemskie i datę zgonu. Tym imionom pośmiertnym ,tym symbolom boskości każdego człowieka oddaje wierzący Japończyk codzienną cześć. Pierwsze kroki po spoczynku nocnym kieruje się do „kamidanu“. Stawia się wówczas przed nią filiżaneczkę herbaty z pierwszej gorącej wody, którą tego dnia zgotowano. W południe przynosi się trochę ryżu. Podczas każdego poważniejszego zdarzenia



Pochód żałobny w drodze do cmentarza.



Nabożeństwo żałobne w Japonji.

i podczas świąt oraz w rocznicę śmierci rodzina gromadzi się koło tego dziwnego dla nas, europejczyków, ołtarza. Jest to nie tylko oddanie czci bóstwom lecz i pełne miłości wspomnienie swych ukochanych zmarłych. Gatunek drzewa i gatunek ozdób tabliczek pośmiertnych zależy oczywiście od stopnia zamożności danej rodziny. W niektórych domach znajdują się ogromne ilości tych „ihai", przechowywanych z najwyższym pietyzmem. Stanowią one nietylko świętość lecz i swego rodzaju archiwum domowe. „Ihai" męskie są nieco większe od kobiecych (około 20 cm).

W niektórych bardziej zachowawczych częściach Japonji istnieje wśród kochających się małżonków wzruszający obyczaj... Jeśli mąż umiera, a żona postanawia zostać na zawsze wdową, wówczas sporządza się dwie tabliczki. Tylko, że imię pośmiertne męża wypisuje się złotemi, a imię żony czerwonemi literami. Oba „ihai" umieszcza się w ołtarzu domowym, a sąsiedzi i przyjaciele nazywają odtąd wdowę już tylko jej pośmiertnem imieniem...

Poza tym, codziennym kultem zmarłych, istnieją jeszcze oczywiście doroczne święta Rodziny shintoistyczne obchodzą je pierwszego, drugiego i trzeciego dnia każdego nowego roku, — buddyjskie od trzynastego do szesnastego lipca włącznie. Podczas tych dni, których niezwykle zawiły rytuał trudno jest opisać w ramach krótkiego feljetonu, zanosi się na cmentarze jadło, a przed ołtarzem domowym płoną przez cały ten czas światła (u buddystów używa się też kadzidła) i chodzi się do świątyń, z których rozlegają się dźwięki dzwonów, gongów i kołatek. Domy i „kamidana" są ozdobione odświętnie. Wszyscy oczekują przybycia niewidzialnych gości.

Szczególnie więc dziś, gdy zimny wiatr unosi nad naszą polską ziemią gromady szeleszczących liści, a setki ludzi podążają z wieńcami ku cmentarzom, wspominam odległe piękne Kjoto.

Cicha, japońska noc zeszła hen od złocistego Ginkakuzi, z łagodnych ,błękitnych przedgórzy. Pogodne, ciepłe milczenie. Gdzieniegdzie tylko słychać kłapanie geta (drewniane sandały). Widzę z werandy, jak wśród bambusowych zagajników rozległego przedmieścia zapalają się światełka dla duchów. I w moim domu zapalił już pobożny gospodarz specjalną lampkę.

Szemrzą stare formuły Shinto: „Harai-Tamaj". O czcigodne duchy dalekich, odległych przodków, o wy pradziadowie naszego plemienia, naszej rodziny, naszych krewnych, o czcigodne duchy założycieli naszych domostw, dziś nastała radosna chwila złożenia wam podzięki naszej..."

Japońskie „Dziady".

Czy to w cieniu naszych wierzb przydrożnych, czy też wśród delikatnych zagajników bambusowych, człowiek tęskni jednak do nieśmiertelności.

Dr. Edmund Strążyski.

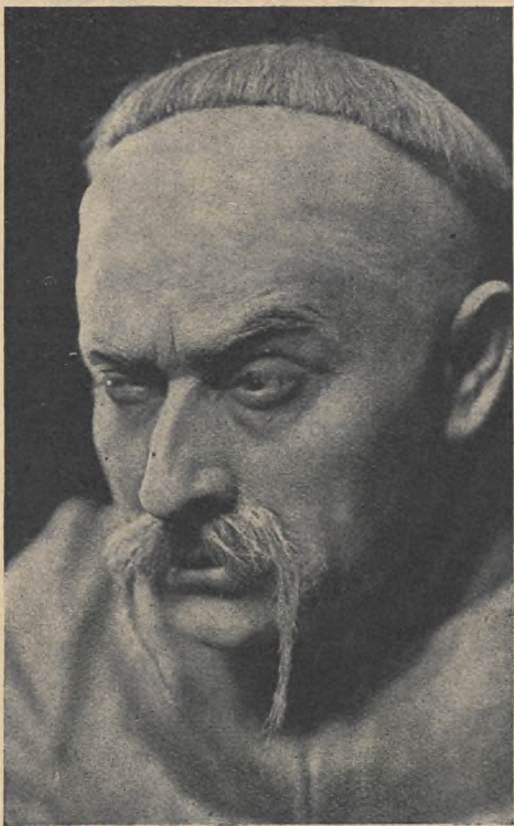
SPROSTOWANIE

Niniejszem, komunikujemy Szanownym Czytelnikom, że w nowym katalogu telefonicznym błędnie podano adres redakcji i administracji oraz telefon.

Adres właściwy brzmi:

UL. CHMIELNA 35 m. 3. TEL. 525-85

50 przedstawień „Zemsty"



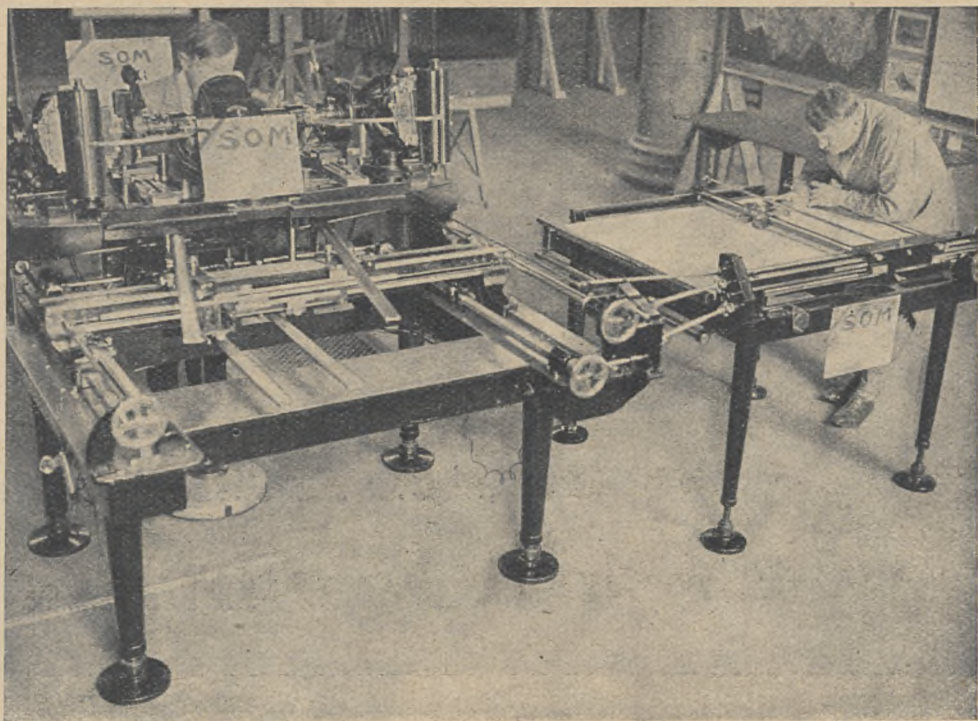
Jaracz tworzy genjalną sylwetkę rejenta Milczka w „Zemście" Fredry.

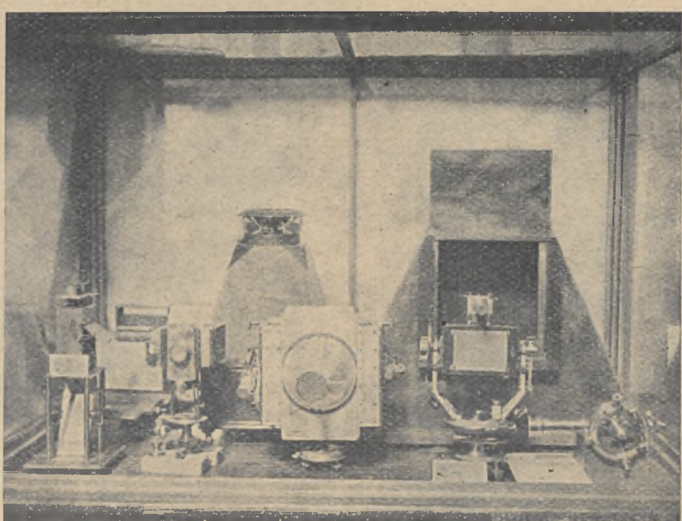
Niezwykle miły jubileusz obchodził teatr „Ateneum" w sobotę, dnia 1 listopada: oto odbyło się 50-te z rzędu widowisko „Zemsty" Fredrowskiej, co uważać należy za fakt wysoce znamienny dla kultury teatralnej stolicy. Już przez pierwsze cztery tygodnie „Zemsta" osiągnęła 66,4% frekwencji osobowej. Widowiska szkolne (w liczbie 4-ch) zgromadziły 6572 młodzieży, przyczem wycieczki przybywały z miejscowości tak stosunkowo odległych, jak Siedlce i Siennica.

CUDA TECHNIKI

JAK MOŻNA W CIĄGU KILKU GODZIN SPORZĄDZIĆ POMIARY MIASTA.

Oszałamiający postęp techniki, jaki znamionuje naszą epokę codziennie niemal przynosi nowe zdobycze. Oto, wiemy, naprzykład, iż dokonanie pomiarów miasta było dotychczas mozolną pracą rozkładaną na wiele lat—dziś natomiast, praca ta może być zredukowana do kilku godzin drogą zdjęć z aeroplanu i przenoszonych na mapę, z matematyczną dokładnością przy pomocy aparatu zwanego stereotopografem, wyanalzku Francuza ,Poivilliers'a. Sharmonizowanie tych wynalazków zajęło nie mniej 10-u lat czasu i wytężonej pracy.





Aparat do zdjęć płk. Laussedat.

Stereotopograf Poivilliers'a.

ZDZISŁAW KLECZYŃSKI.

PIĘKNO EUROPY



Miasteczko Giubia na Lago Maggiore.



Conton Roma.



Stare miasteczko italskie.



Bellagio nad Lago di Como.



Widok jeziora Lago di Como (Cadenabbia).



Wodospad pod Szafurą.

Jest to niewątpliwie osoba nie pierwszej już młodości — ale wciąż jeszcze bardzo piękna. Od wysokiego grzebienia Westminsterskiego Opactwa — do Kalabryjskiej klamry trzewika — dama w każdym calu. Choć tu i tam nielitościwy czas pozostawił jakiś leciuchny ślad, choć tu i tam *maquillage* jej fresków zbladł, coś się odrobinkę skrzywiło, ku starości pochyliło — wystarczy jedno spojrzenie w głębie Neapolitańskiego jej dekoltu, wystarczy jeden połysk jej (wiecznie śnieżnych) Alpejskich zębów, żeby człowiek docna stracił głowę!

A cóż dopiero, gdy zaśmieją się oczy — jeziora, gdy zafaluje jej królewska kibić, gdy odezwie się jej głos słodki, lokarneński, miodowy, Briandowy!

Zaiste, piękną jest Europa! Wciąż jeszcze piękną!

*
* *

Trzeba ją widzieć, naprzykład, gdy, strojna w szaty godowe, cała w przepychu Weneckich koronek, kokietuje cienie Byrona lub Wagnera! Trzeba ją widzieć, gdy, kiedyindziej, ubrana w twed, idzie sprężysta, lśniącą, błyszczącą perspektywą Champs Elysées, wpatrzona w Łuk Tryumfalny, podzwaniająca, niby brelokiem, głową Capeta...

A wtedy, gdy, wychodząc z siebie, przez kaprys uroczy, kosztuje cocktailu z juchtu i krwi, i strzela na wiwat z Nagana, ubrana w kurtkę sowiecką — albo wącha kokainę, wpatrując się na rozpryśnięte na ścianie mózgi — albo słucha symfonji mitraljez, młócących po asfaltach, jak po klepiskach — czyż nie jest urocza?

A wtedy, gdy podpisuje pakty, które pojutrze, albo już jutro nawet, nieostrożnie na strzępy potarga — i gładzi pieszczotliwie szczelinę bagnetów, i wsłuchuje się w deklamację o „*Poezji armat*“, i słucha apostrof: „*Rzymianie!*“ — czyż nie jest kusząco piękna?

A wtedy, gdy delektuje się dyskami gramofonowymi, podczas, gdy panika jej giełd wybucha zdyszanym szwargotem — czyż nie jest uwodzicielska?

A wtedy, gdy nadstawia uszka warkotom oddalających się śmigieł — czyż nie jest czarująca?

*
* *

Złośliwi twierdzą, że jeszcze rok, jeszcze dwa, a świetność jej zblednie. Że zemści się straszliwie jej (odrobinę burzliwa) przeszłość, wyjdą na jaw wszystkie jej *niebezpieczne związki*, zmartwychwstaną naraz wszyscy jej dawni i niedawni kochankowie, i nastąpi krach! Jan Jakób Rousseau złapie za gardło Oscara Wilde'a, Maeterlinck uderzy w szczękę d'Annunzia, olbrzymi Mirabeau rzuci się na Mussoliniego... Z rykiem wypadną z Bałkanów Komitadżi, niewiadomo której już próby, i zaczną rozrzucać po salonach dymiące pochodnie... Runie czerń do muzeów i do sklepów jubilerów... Ulice zachłysną się krwią... Ktoś zaśpiewa znowu „Madelon“, ktoś „Deutschlandlied“, ktoś „Tipperary“, ktoś „Szumi Marica“, ktoś....

Napewno złośliwe plotki.

*
* *

Gdyby miało ocaleć z pogromu tylko jedno jedyne łóżko pani Pompadour, i tak by ocalało z jej wiana dużo. Ale ocaleją przecież, należy przypuszczać, także encyklopedje? I galerje obrazów? I zamki nad Loarą? I Wawele? I katedry, których iglice rozmawiają z gwiazdami?

Nie, jeżeli naprawdę miałoby ją spotkać coś złego, nie będzie to katastrofa ostateczna. *Tak wielkiej damie* niktby świadomie krzywdy nie wyrządził. Chyba nieświadomie?

*
* *

A tymczasem jeżdżą tędy, tamtędy, wzdłuż, wpoprzek i wspak, wielkie, naładowane po brzegi, klaksonujące car'y, wożące gapiów białych i kolorowych, podziwiających *jej* piękno, *jej* bogactwa. W każdym car'ze po dwa tuziny, albo nawet po trzy tuziny mord. I okrzyki. I piski. I zachwyty. I kretyńskie zapytania. I Kodaki. I notatniki. I deszcz i ulewa objaśniających, ilustrujących te cuda, cyfr...

Śmigają wielkie, brzuchate auta serpentynami górskich gościńców, wspinają się, sapiąc, na lodowce, zjeżdżają z przeraźliwem trąbieniem w doliny, stają, ze zgrzytem hamulców, przed frontami pałaców i tumów...

Sypią się, w spuchnięte, przerażone uszy, wwiercają się do mózgów prymitywnych, fakty, fakty, fakty. Aż pękają głowy od tych faktów. Tam jakiś wielki Papież kazał wielkiemu królowi wędrować boso, w worku zgrzebnym. Tam jakiegoś więźnia pakowano do stalowej beczki, najeżonej szpikulcami, i wydłubywano mu oczy, a wszystko miało dwuznaczne kształty niewieście. Tam ktoś na barykadzie, ginąc, śliczne wiersze improwizował. Tam kogoś w nocy zasztyletowano. Tam jakiś malarz jakiś obraz dla jakiegoś klasztoru 25 lat malował. Tam ktoś śliczne sarny hodował, i daniele, i jeszcze piękniejsze, jeszcze słodsze kobiety, jadające z ręki; ale jedna z nich była trucicielką; owóż, dnia pewnego...

I sypią się, sypią fakty, daty, cyfry. Było to w roku tym a tym. Kosztowało tyle a tyle. Na zbudowanie zużyto żyć ludzkich tyle to a tyle, ton materjałów tyle znów a tyle. Potem wybuchnęła wojna, zwana siedmioletnią. Albo trzydziestoletnią. Albo stulet...

Wydziera się *guide* przez megafon, biali i kolorowi barbarzyńcy słuchają, notują, nic nie rozumieją, czują w głowach czad, w ustach gorycz, a w końcu straszliwe, straszliwe, tępe znużenie.

*
* *

— *Piękno Europy!* Sto razy, tysiąc razy, miljon razy, miljard razy opiewane i wciąż jeszcze żywe! Och, ile wspaniałych mózgów, ile wielkich serc, ile genjalnych oczu patrzało na ciebie, starzejąca się, a wciąż bardzo piękna, Pani! Ilu miałaś kochanków cudownych! A ilu jeszcze mieć będziesz?...

J. MISIEWICZ.

Oszustwa karciane

(Murowany dioker w karcie.)







Szuler wyjmuje z nowej talji np. króle (przy ecarté) lub dziewiątki (przy baku), a resztę kart wycierza z boku szmerglem. Po zmięszaniu wszystkich kart, wyjęte uprzednio króle i dziewiątki są szersze i dlatego łatwiejsze do poznania, jak również dają się wysuwać z całej talji.

Dwa czynniki, według potocznego mniemania, rozstrzygają o pomyślnym przebiegu gry w karty: szczęście wpychające w rękę dobrą kartę i umiejętność rozgrywania partyj. Zbyt często jednak zapomina się o trzecim czynniku, którym jest umiejętność *oszukiwania* przy grze. A tymczasem to pomaganie losowi i umiejętności stosowane jest częściej i powszechniej, niżby się na pierwszy rzut oka mogło zdawać. Nie mówiąc już o kołach profesjonalistów oszukańczych, stwierdzić trzeba, że wypadki nieprzystojnych manipulacyj kartami nie są odosobnione nawet przy grach towarzyskich. Są to coprawda manipulacje zazwyczaj drobne, niezdarne, obliczone raczej na oderwaną satysfakcję wygrania aniżeli na zysk, stosowane w kołach rodzinnych, czy dobrych znajomych, skłonnych do pobłażliwo - przyjacielskiego traktowania tego rodzaju wybryków — ale się zdarzają.

Niewiele, sądzę, jest ludzi, odróżniających króla od asa, karo od pika, którzyby poszperawszy w swych wspomnieniach, nie przypomnieli sobie, jak to rozkoszna pani X ma zwyczaj przemile zazierać sąsiadom w karty, jak kochające się małżeństwo Y, poza czułemi spojrzeniami wymienia nieraz kochająco i skrycie... dogodne nawzajem karty, jak to znany z systematyczności pan Z. nigdy nie zapomni przy dawaniu kart o zerknięciu pod spód talji, jak to skrzętna gosposia pani W., grając w pokiera, nie pogardzi z odrzucanych na stół kart nawet dwójką, jeśli brak jej właśnie takiej karty do foul'a. Szperający skrzętniej we wspomnieniach przypomniałby sobie może nawet i jakiś dom, których gospodarze latami całemi nie zmieniają kart, o których, Boże broń, aby można było powiedzieć, że są znaczone, które jednak wskutek tak długiego używania mają na sobie tyle plam, smug, odcieniów, zadraśnięć, że w tym labiryncie defektów mogą się orjentować... tylko domownicy. A czyż nie może zdenerwować nawet najspokojniejszego gracza „kibic", o którym nigdy nie wiadomo, czy, może zresztą zupełnie niewinne, wytarcie przezeń nosa, wydęcie policzka językiem, zagryzienie wargi, podrapanie się w czoło — nie jest paskudnie umówionym znakiem dla któregoś z graczy?

Te wesołe igraszki towarzyskie nie stoją, oczywiście, w żadnym stosunku do właściwej gry oszukańczej, jakiej można stać się ofiarą przy niebacznem wpadnięciu w sieć szulerów, którzy nawet niezbyt wysilają się na pomysły przy wciąganiu patrzonej ofiary, ufni w magnetyczną siłę, jaką posadają karty dla niezliczonych rzesz ludzi, gotowych zawsze i bez mała w każdym próbować szczęścia Utarte, i aż nadto wytarte, sposoby sprowadzają się tu do kilku prostych posunięć: doprowadzenie przeciętnej znajomości do poziomu stosunków serdeczniejszych, zaproszenie na przyjęcie do domu wzbudzającego pełną ufność przez skrupulatne nagromadzenie pozorów solidności, niewinne zaproponowanie „taniuchnej" gry towarzyskiej, połączone nieraz z oporem gospodarzy, który dopiero pod wpływem nastawiania kogoś z towarzystwa, aczkolwiek niechętnie, poddają się jednak w końcu obowiązkom gościnności, rozgrzanie partnera przez pofolgowanie mu w pierwszych turach do wygranej — a potem już rzecz się toczy własnym rozpędem. Oczywiście, że los wciągniętego nie byłby zgóry przesądzony, gdyby „towarzystwo" nie starało się normalną równowagę szans gry zachwiać na swoją korzyść wszelkiemi sposoby. A sposobów tych ma szajka w zapasie ogromną różnorodność, choć w gruncie rzeczy sprowadzają się one do kilku „chwytów" typowych.

A więc przedewszystkiem „marquillage", sposób, polegający na zręcznem, prawie aż do nieuchwytności, znaczeniu kart. Może tu posłużyć zarówno proste poznaczenie paznogciem jak i subtelniejsze już poczynienie szpilką nakłuć, które pomimo zarobienia woskiem wysubtelniona rękę szulera łatwo wyczuwa; cenne usługi może też oddać zarówno planowe potarcie poszczególnych kart kamieniem, przez co można je rozpoznać po różnych odcieniach i umiejscowieniach lokalnych szorstkości, jak i wypisanie znaków wilgotnym, zaostrzonym patyczkiem, powodującym delikatne, matowe oznaczenia, wymowne dla oka wtajemniczonego. Swoistego rodzaju odmianą „marquillage" — jest „porté", sprowadzające się do zręcznego zamieniania uczciwej talji, wprowadzonej do gry dla przynęty, na komplet znaczony. Zastosowanie tej manipulacji wymaga wielkiej umiejętności, równej co najmniej zręczności estradowego magika, stoi też na granicy między „marquillage" a resztą sposobów, z których każdy jest w swej istocie bardziej lub mniej skomplikowaną sztuczką kuglarską.

Jeśli w sposób niewytłomaczony dla *zgóry* krytycznie nastrojonego widza, siedzącego choćby w pierwszym rzędzie krzeseł, prestydygitator sceniczny potrafi zmienić jajko w gołębia, to dlaczegóż nie ma się udać szulerowi ta lub inna malwersacja kartami wobec osaczonego partnera, którego trzeźwość obserwacji jest *zaćmiona gorączką gry*. To też wprawny szuler z łatwością godzi w kieszeń osoby upatrzonej przez usunięcie z talji na pewien czas karty, choćby na kolana czy między kolana, i dołączenie w odpowiednim momencie z powrotem do gry (t. zw. transporter), czy też przez wyciągnięcie nie karty kolejnej, a innej, dla siebie korzystniejszej (t. zw. filage).

Znacznie już trudniejsze jest „sesancirer" czyli ułożenie choćby tylko kilku kart w talji w sposób zgóry obmyślany, to też manewr ten wymaga pomocy, naprzykład przez skierowanie uwagi na stronę, choćby drogą kokieteryjnego nadeptania pod stołem na odcisk przez ponętną socjuszkę szulera. Wypadek zastosowania „sesancirer" na wielką skalę miał miejsce w Monte - Carlo, gdy przy stole gry strzelił do siebie jakiś desperat. Ponieważ jednak desperat ten chybił, przeto można o nim powiedzieć, że rzecz skończyła się dlań równie szczęśliwie jak i dla jego wspólników, którzy korzystając z zamieszania, wymienili przygotowaną już do gry talję na drugą, odpowiednio ułożoną, przez co niezgorzej się w rozegranej następnie turze obłowili.

Dążność do utrzymania planowo ułożonych kart bez zmiany zrodziła dwie manipulacje: „salado" t. j. takie tasowanie, aby partnerowi zdawało się, że ma ono miejsce, podczas gdy w rzeczywistości układ kart pozostaje bez zmiany oraz „le faut coupe", którem w terminologji międzynarodowej nazywają szulerzy takie zebranie przełożonych kart, które nie zmienia ich poprzedniego układu (przez zręcznie mamiące oko chwycenie kupki, która leżała przed przełożeniem na wierzchu i położenie jej na dolnej). Pozostaje jeszcze do zanotowania posiłkowanie się umieszczoną na stole papierośnicą, w której odbijają się rozdawane karty, dzięki czemu dający wie doskonale, co przeciwnik jego ma w ręku. Sposób to tak mało skomplikowany, tak wprost ordynarny, że nie zasługiwałby na zaznaczenie, gdyby nie zbyt wielu naiwnych, którzy się nań jeszcze łapią.

Gdybym mógł być przekonany, że przez podanie tych metod oszukańczych wytrawnych szulerów udało mi się odstraszyć każdego od grania w towarzystwie, choćby zaledwie *zalatującem* niewyraźnością, to na tem bym i zakończył niniejszy feljeton. Ponieważ jednak obawiam się, że jest zbyt wielu ludzi zadufanych, którzy są o sobie mniemania, że „oni się tam oszukać nie dadzą", przeto opiszę jeszcze dla przykładu pewien pouczający wypadek. Szajkę szulerów w pociągu Genua — Rzym ogarnął dreszczyk miłych przeczuć, gdy udało im się zetknąć w wagonie z „frycem", który wyglądał równie na naiwnego jak i zamożnego. Stosownie do tych przewidywań gra potoczyła się bez żadnych niespodzianek: „fryc" połknął haczyk przy pierwszych udzielonych mu wygranych, rozpalił się — wkrótce zaczął przegrywać, zawziął się, żeby się odegrać—pogrążał się coraz bardziej. Aż doszło do tego, że przegrawszy wszystkie drobne i to całkiem pokaźne, wyciągnął tysiącfrankówkę. Już usłużni szulerzy wymienili mu ten ponętny banknot, gdy jegomość przez wynikłą wskutek tego przerwę w grze spostrzegł się, że akurat jest na stacji Civita - Vecchio, gdzie był kres jego podróży. Wysiadł tedy pośpiesznie, pozostawiając szajkę z uczuciem zawodu, że nie udało się uszczknąć więcej i z... fałszywą tysiącfrankówką. Jak widać z tego przykładu, nawet taki spryciarz, jakim był musiał ów jegomość, nie ważył się zmierzyć z szulerami *ich własną* bronią.



ZIOŁA LECZNICZE CHOLEKINAZA LECZĄ CHOROBY WĄTROBY, KAMIENIE ŻÓŁCIOWE, ZŁĄ PRZEMIANĘ MATERJI. BROSZURA DR. T. NIEMOJEWSKIEGO PRZY KAŻDEM PUDEŁKU. SKŁAD GŁÓWNY: WARSZAWA, NOWY ŚWIAT 5.



Miss Laura Ingals pobiła nowy rekord kobiecy, przelatując przestrzeń z Los Angelos do New Yorku w 25 godz. 35 min.



Miss Marion Roberts, domniemana sprawczyni zamachu na bandytę Jacka Diamonda

PIERRE MAC ORLAN. 6)



Noc Marji Chantal

(La tradition de minuit)

Streszczenie poprzednich rozdziałów:

W małej kawiarence paryskiej, pod nazwą „Bal motyli", zebrało się parę osób, wezwanych przez tajemniczą osobę, w sprawie jakiegoś olbrzymiego spadku. Po pewnym czasie, postanawiają wezwać właściciela lokalu. Ku wielkiemu swemu przerażeniu zastają go zamordowanego we własnym pokoju. Zjawia się policja, która bada zebranych. Są to: Eligjusz Mutter, antykwarjusz, Marja Chantal-Fosseuse, śpiewaczka, Lucjan Flahaut, dziennikarz, Ludwik Fraipont, chłopiec garażowy i niejaki Saint-Thierry.

— Istna rzeź! — mruknął Saint-Thierry.

— Czy zdjęto odciski palców albo inne ślady? — spytał Flahaut.

— Nie słyszałem nic o tem. Zresztą policja jest bardzo tajemnicza. Robi obławę na bulwarze Javel i we wszystkich okolicznych knajpkach. Jedni przypuszczają, że morderca jest Arabem lub Chińczykiem, inni sądzą, że to ktoś z tej samej dzielnicy. Zdaje się, że zamieszana jest w to jakaś kobieta. Kelner, na którego nie pada żadne podejrzenie, przypomina sobie, że jakaś młoda, dosyć elegancka kobieta, była w knajpce w wigilję zbrodni. Młodzieniec ten nie wygląda mi na zdolnego psychologa, ale obecność nieznajomej w porze, kiedy do „Balu Motyli" nikt nie przychodzi, nie jest bez znaczenia. Ale niespodzianki są zawsze możliwe. Powiedziawszy to wszystko, czuję, że tuzin ostryg i dobra pieczeń mogłyby mi przywrócić siły. Mój stary, jestem porządnie zmordowany.

— Znałam ojca Caïda — wtrąciła młoda sąsiadka, która czekała na szczęście przed pustą szklanką. — Dosyć często tańczyłam w „Balu Motyli", kiedy mieszkałam w tamtej okolicy. Według mnie stary był trochę pomylony. Wynajął statek, który przewoził przestępców do Ameryki czy też gdzie indziej, nie wiem dokładnie, gdyż unikałam wszelkich stosunków z tej sfery. Stary latał za kobietami; trudno się było od niego odczepić, zdawałoby się, że miał klej na łapach. Nie dziwi mnie wcale to, co opowiadacie o jego miljonach, nie dziwi mnie też, że złoczyńcy, wiedząc o jego majątku, zdecydowali się na ten krok.

— To dziecko — zauważył Gaudet — wydaje mi się pełne zdrowego rozsądku. Pijmy... Czy można panią czemś poczęstować?

— Owszem, piwem i kanapką.

— Proszę o wino dla nas — powiedział Flahaut. — Wiesz, Gaudet, ten mały w kącie, to nie byle kto, wiesz... dawny pasterz z dzikich stepów amerykańskich, typek w moim guście... Pijmy!

Trudno już było porozumieć się w małej kawiarence. Każdy na swój rachunek opowiadał różne kłamstwa.

— Kto mówi o pasterzu z dzikich stepów! — zawołał ktoś.

Z pośród gromadki ludzi wysunął się naprzód wysoki barczysty człowiek w dużym filcowym kapeluszu.

— Tutaj, tutaj! — wołał Flahaut.

— Są tutaj tacy? — pytał nieznajomy.

— Mówiłem o jednym — uspakajał go Flahaut. — To ten pan, który siedzi po mojej prawej stronie.

Saint-Thierry, kóremu zaczynało się już trochę kręcić w głowie, wstał, uśmiechając się.

— Tak jest — mówił, choć język mu się plątał. — Pasterz z dzikich stepów... Wracam z Barcelony...

— No to chyba na ulicy del Arche de Theatro pasłeś swoją trzodę!

Saint-Thierry nie wiedział już, czy ma się śmiać, czy też gniewać. Bał się awantury. Flahaut zaprosił go na szklankę wina, co zostało skwapliwie przyjęte.

— Mój przyjaciel jest trochę zmęczony— rzekł Flahaut, mrużąc oko.

— Widzę to... ale co się tyczy pasterzy, to pański przyjaciel trochę sobie za wiele pozwala, bo pan wie... ja nim jestem... Pedralbez może poświadczyć... te, Pedralbez, powiedz, kim ja jestem...

— Daj mi święty spokój — odburknął mały człowieczek o wyglądzie lokaja. — Rozmawiam teraz z panią.

Ale pijak uczepił się swego. Przy okazji wylał pełną szklankę wina na spodnie Saint-Thierry'ego.

— Wiesz przecież, kim ja jestem... powiedz tym panom, którzy chcą mnie nabić w butelkę... Powiedz im, Pedralbez, że jestem prawdziwym pasterzem z dzikich stepów amerykańskich.

— Nie wiem, czy nim jesteś — mówił Pedralbez — zato wiem, że jesteś świnia i wlany jak co wieczór. Matka nie pozwoli ci więcej wyjść.

— Bydlę! — mruknął tamtem i upadł na stół z wyciągniętemi ramionami.

Pedralbez, wzruszony opłakanym stanem przyjaciela, pomógł mu włożyć rękawy palta. Praca ta nie była bynajmniej łatwa i zajęła trochę czasu.

Pijak nie przestawał jęczeć:

— Powiedz, Pedralbez, proszę cię, powiedz!

Pedralbez zarzucił mu szalik na szyję z troskliwością dusiciela. Gospodyni wypchnęła obu za drzwi. Powietrze ulicy wtargnęło do gorącej zadymionej sali. Zmę-

czenie przekradało się wraz z chłodnym porannym wiaterkiem.

Saint-Thierry, Flahaut i Gaudet nie rozmawiali już; sen ich morzył.

— Trzeba iść — zadecydował Gaudet.

— Samochód? — spytał Saint-Thierry.

Szperał w kieszeniach, szukając chusteczki. Drobne monety wysypały się na podłogę.

— Niech mi pan pozwoli zapłacić. To bę...dzie... i...le? — jąkał się.

V.

Wróciwszy nad ranem z „Czarnego Słońca“ do domu, Marja-Chantal Fosseuse znalazła pod drzwiami list, w którym sędzia śledczy wzywał ją na godzinę drugą.

— Co za piła!

Rzeczywiście bardzo potrzebnie zaplątała się w tę całą sprawę. Nogi uginały się pod nią ze zmęczenia, opadła bezsilnie na łóżko. Nie miała odwagi myśleć. Powiedziała: „trzeba się rozebrać“, ale nie ruszyła się z miejsca. Wreszcie wstała i zaczęła się przygotowywać do snu. Zimna woda orzeźwiła ją trochę. Wślizgnęła się pod kołdrę i czekała na zbawienny sen, który uciekał od niej wtedy, gdy mogła spać dowoli.

Marja-Chantal Fosseuse myślała ze smutkiem o swojej przeszłości. Cofała się w te czasy, kiedy czuła niebezpieczeństwo, zagrażające jej codziennym przyzwyczajeniom. Uciekała do swej przeszłości, przeszłości młodej przeciętnej dziewczyny, która otrzymała nienajgorsze wychowanie. Ojciec jej był aptekarzem w Nancy. Był to człowiek podlegający wpływom wszystkich ludzi, do których się zbliżał. Utrzymywał tylko nieliczne stosunki. Jego największą rozrywką latem było siadywanie przed drzwiami apteki, pomiędzy dwoma kolorowemi słojami i obserwacja ulicy, na której mieszkał i na której nigdy nic się nie wydarzało. Kiedy Marja-Chantal skończyła dwanaście lat, wysłano ją na pensję w okolice Toul. Wyniosła stamtąd wszystkie wiadomości, jakie można było tam uzyskać. Miała jasne włosy, była wysoka i milcząca, jak ojciec. Kiedy wracała na wakacje do domu i pytano ją, czemby chciała zostać, odpowiadała:

— Chciałabym być modystką albo krawcową.

— Ciapa! — mówił na to ojciec, utkwiwszy nos w talerzu, gdyż rozmowy te prowadzono zwykle przy stole. Potem dodawał: — Jedz, lepiej zrobisz.

Mała przyjmowała w milczeniu te uwagi. Nie kochała ojca, co zaś do matki, to jej uczucie tkliwości zmieszane było z pewną litością. Pani Fosseuse, smutna kobieta, była cieniem swego męża. Nie był to wielki cień, ale małżonka starała się zmaleć, aby ten cień przykrył jeszcze ją samą. W wieku lat dziewiętnastu Marja-Chantal pędziła jeszcze marny żywot na pensji. Miała niebrzydki głos, pewną niezależność, a jeśli chciała, umiała się podobać. Jednego dnia z listu matki dowiedziała się o definitywnym wyjeździe ojca. Wróciła do Nancy, pytała o szczegóły, których matka nie mogła, czy nie chciała jej dać. Ojciec wyjechał w niewiadomym kierunku, z jakąś czarną, tancerką. To wydarzenie wprowadziło wszystkich w takie zdumienie, że nie można było o niem nawet dyskutować. Po ucieczce męża, pani Fosseuse została w krytycznem położeniu materjalnem; trzeba było wszystko sprzedać, aby spłacić długi. Za pośrednictwem policji dowiedziano się, że pan Fosseuse prowadził niezwykle rozwiązłe życie. Nie zdradzał swego prawdziwego nazwiska. W Moguncji, gdzie grasował raz na tydzień, nazywano go Manon-la Vache. Fosseuse i jego murzynka przeszli granicę niemiecką. Pani Fosseuse umarła w rok po ucieczce męża. Zostawiła córkę bez pieniędzy, jakiegokolwiek fachu i stosunków. Przyjaciel lat dziecinnych, którego młoda dziewczyna widywała podczas wakacyj, dał jej skradzione u ojca tysiąc franków, aby Marja-Chantal mogła dostać się do Paryża, który ponętnie błyszczał zdaleka.

— Przyjadę do ciebie, Marysiu — zapewniał ją chłopiec.

Kiedy rozstali się na dworcu, wydało mu się, że życie sprowadza się do dziwnej roskoszy, którą czuł na końcu języka. Nie mógł odżałować, że nie pocałował Marji-Chantal. Było to jego najgorętsze pragnienie, ale w ostatniej chwili zbrakło mu odwagi.

Marja-Chantal Fosseuse, oparłszy bródkę na dłoni, patrzała przez okno przedziału trzeciej klasy, na uciekające widoki okolic Paryża. Szara mgła otulała miasto, dym z tysiącznych kominów wznosił się prosto do nieba. Przed wjazdem do Paryża ujrzała poprzez szyby wielkiej fabryki kobiety w różowych bluzkach i kolorowych chusteczkach na głowach. Zajęte były wkładaniem do skrzynek. Kobiet tych było kilkaset. Fabryka podobna była do koszar pełnych różowych żołnierzy. Szare niebo łączyło się harmonijnie z tym widokiem. Zbliżano się do miasta. Podróżni zaczęli zdejmować z siatek swoje bagaże.

(D. c. n.)

WITOLD BUNIKIEWICZ.

Panowanie świętego Huberta

Takiego myśliwego, jak święty Hubert, nie było dotąd na świecie i napewno nie będzie.

Słusznie więc, że obrali go myśliwcy za swego patrona i żaden porządny strzelec chrześcijański nie zaniedbywał nigdy uroczystego nabożeństwa w dniu trzeciego listopada, po pierwsze, aby oddać hołd największemu myśliwemu świata, po wtóre, aby uprosić sobie błogosławieństwo patrona na cały okres łowiecki, który zaczyna się jesienią.

Nie trzeba bowiem przypuszczać, że łowy są igraszką i płochą przyjemnością. Wymagają one wiele trudu, narażają na poważne niebezpieczeństwa i dzisiaj jeszcze, choć wyniszczała gruba zwierzyna, nie jeden myśliwiec przepłacił swą pasję śmiercią, kalectwem, chorobą lub wstydem.

Bywało nieraz, zapadnie się grunt pod stopami i bagno pochłonie strzelca, kiedyindziej wypali znienacka fuzja, rozjuszony odyniec rozpruje brzuch nieostrożnego łowcy, sąsiad postrzeli sąsiada, zaziębienie powali na łoże, a najczęściej oko zawiedzie, ręka niedopisze, i choć zwierzyna pcha się pod flintę, co rusz, pudeł i basta.

Na każdem polowaniu jest jeden, a czasem i kilku pechowców, a byli i tacy, którzy po wielu świetnych trofeach poprzysięgli sobie nigdy nie brać strzelby do ręki, bo tak im dokuczyło niepowodzenie.

Wyszedł na linję lis, taki stary, wyżarty wyga, który w biały dzień powyjadał wszystkie kury pani leśniczynie, pociągnął nosem i zwęszył odrazu, w którem miejscu stoi pechowiec. Zadarł kitę i wali przed siebie, wprost na strzał. Wiedział, gdzie trafić, bo strzelec spudłował, więc lis merdnął mu w podzięce ogonem i zginął w zaroślach. Te i tym podobne niepowodzenia spotykają myśliwych, którzy nie biorą swego zawodu poważnie i nie przygotowują się w skupieniu do wypraw łowieckich. Inaczej bywało dawniej, a gdy z łukiem, procą lub oszczepem błądził myśliwy po kniejach, polecał się szczególnej opiece świętego Huberta, łowcy nad łowcami.

Niewiele zapisały o nim księgi pobożne, to tylko wiadomo, że żył w Flandrji u schyłku siódmego wieku i w początkach ósmego stulecia i tak jak w młodości polował zwierzynę na swoje i przyjaciół stoły, tak później łowił dusze dla wiecznej szczęśliwości i Nieba.

I dziwnie zapalonym był do jednego i drugiego trudu.

Gdy jako młodzieniec, uzbrojony w kuszę i oszczep, zjawiał się w borze, biegła straszliwa wieść po puszczy, iż najgroźniejszy wróg zwierzat wybrał się na łowy.

Truchlały chyże jelenie, zamierała siła w nogach żubrów i turów, lęk ogarniał drapieżce, gdyż rozumiały, iż w najczarniejszym gąszczu wyśledzi je oko myśliwca, a chyżość jego nóg sprosta sarniem cielicom.

Marły więc pod ciosami pocisków niezwykłego strzelca, któremu nikt nie mógł dorównać w sprawności i przebiegłości.

Zapalczywość łowcy w tropieniu i mordowaniu zwierza była tak wielka, iż nie zadawalał się łupem, dziesięciokroć wystarczającym na wyżywienie domowników — ojca swego w Akwitanji, lub dworu Pepina Herystala w Austrazji, lecz mordował, co mu wpadło pod rękę, pożyteczne lub niepożyteczne zwierzęta, biedne niewiniątka puszczy i drapieżców.

Nie pytał o cel mordowania, gdyż sprawiało mu niewypowiedzianą radość zabijanie zwierząt.

Lecz i bydlęta są stworzeniami boskiemi, a choć je powołał do życia Bóg, aby karmiły człowieka, żal zrobiło się Stwórcy tej niewinnie, a bezpotrzebnie przelewanej krwi zwierząt.

Zstąpił przeto anioł z nieba, by powstrzymać te mordy i natchnąć upamiętaniem szalonego myśliwego.

Wyszedł święty Hubert do boru na łowy, bardziej niż zwykle chciwy krwawych łupów.

Na skraju kmieć dojrzał ogromnego jelenia, który spokojnie skubał trawę, nie zwracając uwagi, iż zbliża się jego morderca.

Jak można najciszej podsunął się Hubert pod zwierzynę, gdy jednak zbliżył się na odległość strzału, jeleń umknął małe stajanie.

Od rana do zachodu słońca trwała nieprzerwanie gonitwa, a zwierz wodził myśliwca po ostepach, nie dając mu odetchnąć na chwilę i ciągle pobudzając do pościgu.

Zmierzch zapadał za lasy, gdy święty Hubert podkradł się wreszcie pod jelenia.

Zaledwie jednak napiął kuszę, oślepił go blask niezwykły.

Tuż przed nim stał wspaniały zwierz, wśród olbrzymich jego rogów świeciła aureola, a w niej błyskał krzyż. Myśliwiec padł na kolana. Poznał, jak wiele zawinił, mordując bezcelowo stworzenia Boże.

A inni mówią ,iż ciężko okaleczony zajączek cierpiąc okrutne męki, zwrócił się do Stwórcy z płaczem i narzekaniem, iż go Hubert nie odrazu uśmiercił, lecz skazał na cierpienia, a mięso jego na padlinę.

Miłosierny więc Bóg posłał anioła, aby zwrócił zaciekłego łowcę na inną drogę.

Święty Huebrt został mnichem, a potem biskupem leodyjskim i tungrenskim.

I jak ongiś uśmiercał zwierzynę, tak zabrał się do tępienia grzechów i ścigania szatana. I nigdy już nie brał kuszy do ręki ,ani oszczepu, lecz z czułością myślał o mieszkańcach boru i pragnął wynagrodzić za krzywdy, dawniej czynione.

Święty Hubert został mnichem, a potem bisłowiecki i nauczał, że wobec zwierza w borze obowiązuje taka sama rycerskość, jak wobec nieprzyjaciela na polu bitwy.

Nie wolno się nad nim znęcać, nie wolno ranić i bezpotrzebnie tępić, nie wolno ścigać, gdy nieodpowiedni czas po temu, a w dnie świąteczne i w niedziele nie należy wychodzić na łowy, aby i zwierz zaznał dobrodziejstwa odpoczynku, nakazanego przez Boga.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KRZYŻÓWKA.

	a	b	c	d	e	f
6						
5	■					
4						■
3						■
2				■	■	
1						

Wyrazy pionowe.

b6 Przyrząd do zachowania ciepła
c6 Imię męskie
d6 Inaczej 60 (wspak)
e6 Stwierdza wartość
f6 Przyimek (łac.)
a4 Kości (łac.)
f2 Określenie miejsca (wspak)

Wyrazy poziome

a6 Zagubi, pozbędzie się czegoś (inaczej)
b5 Okręg, należący do Belgji
a4 Jeden z bohaterów dawnych walk o niepodległość
a3 Potwory bajeczne
a2 Inaczej fatum (wspak)
a1 Materjał do jezdni i chodników

Nagrody

Za rozwiązanie krzyżówki z niniejszego n-ru przeznaczamy do rozlosowania nagrodę w postaci

25 Zł.

oraz 2 książki beletrystyczne. Termin nadsyłania rozwiązań do dn. 13 listopada b. r.

NAGRODY

Za rozwiązanie zadań z Nr. 39 nagrody otrzymają (w wyniku losowania):

Nagrodę w postaci *25 złotych:*
p. St. Sielitowicz, porucznik, lek. wet., garnizon Słonim.

Książki beletrystyczne:
pp. Tadeusz Władysław Stark, Katowice, ul. Marsz. Piłsudskiego 33 II.
Halina Krzanowska, Sosnowiec, ul. Piłsudskiego 56.

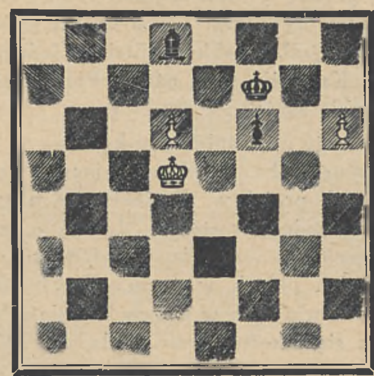
ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z N-RU 40.

	a	b	c	d	e	f
6	o	■	h	c	■	■
5	b	r	i	a	n	d
4	r	a	t	l	e	r
3	o	b	l	e	w	a
2	n	i	e	■	a	m
1	a	n	r	o	■	a

SZACHY

STUDJUM.

R. Reti.



Białe zaczynają i osiągają nierozegraną!

ROZWIĄZANIE.

1 Kd5—c6! — Gd8—a5.

Czarne nie mogą grać królem na g6, gdyż biały król wejdzie na d7 i następnie na e6 i groźbą d6—d7 oraz h6—h7 zdobędzie piona f6.

2. Kc6—d5!

Groźbą powtarzania manewru białe wymuszają:

2. . . . . Ga5—c3
3. h6—h7! f6—f5
4. d6—d7 Kf7—e7
5. d7—d8H! Ke7×d8
6. Kd5—e6! f5—f4
7. Ke6—d5! f4—f3
8. Kd5—c4 i król zdobywa decydujące tempo: albo goniec zginie, albo król zdobędzie piona i remis!

Naczelny Pracowniczy Komitet Wyborczy

W trosce o obronę spraw, związanych z życiem zawodowem, został powołany do życia Naczelny Pracowniczy Komitet Wyborczy, celem uzyskania dla przedstawicieli bezpartyjnego niezależnego ruchu zawodowego przedstawicielstwa w Sejmie i Senacie.



Anatol Minkowski, prezes Nacz. Pracown. Kom. Wyb. oraz prezes Polskiej Konf. Pracowników Umysłow.



Sławomir Dabulewicz, wice-prezes Nacz. Prac. Kom. Wyb. oraz prezes Centr. Org. Prac. Umysł. i redaktor „Biuletynu" C. O.



Dr. Marjan Filipek, wice-prezes Nacz. Prac. Kom. Wyb. oraz prezes Zjednocz. Zwiazk i Stowarzysz. Prac. Państw. i wice-prez. Stow Urz. Skarb.



Antoni Pacholczyk, b. poseł na sejm, wice-prezes Nacz. Prac. Kom. Wyb., dyr. Związku pracown. admin. gminnej, wice-prezes Rady Nacz. Zw. Prac. Samorz., prezes Związku Gmin.



Marjan Dann, członek Nacz. Prac. Kom., jeden z głównych inicjatorów akcji, zasłużony działacz społeczny.

Ze świata niewytłumaczonych zjawisk

Niepoczytalne zbrodnie.

Niezliczone pełne tajemnic zjawiska, otaczają zewsząd człowieka. Nauka i technika, metafizyka i psychologja nieustannie odkrywają nowe tajemnice wszechświata fizycznego i duchowego, a jednak nie zdołały jeszcze dotrzeć do głębi tych niewytłumaczonych niczem zjawisk, które się nieustannie dzieją wkoło nas i w nas samych.

Niedawno zdarzył się ciekawy wypadek, który znalazł swe smutne rozwiązanie w domu dla obłąkanych, a który możnaby zatytułować: „dramatem duszy".—Karol i Piotr byli bliźniętami. Chodzili do jednej szkoły, uczyli się dobrze. Karol był pierwszy a Piotr drugi w całej klasie. Obaj zostali inżynierami. Karol otrzymał dobrą posadę a Piotr niemiał żadnej pracy. — Obaj grali na loterji. Karol wygrał główny los, Piotr przegrał. Obaj kochali się w jednej dziewczynie. Karol się z nią ożenił. Piotr chciał odebrać sobie życie.

Pewnego razu ogłoszono konkurs na budowę jakiegoś gmachu reprezentacyjnego. Obaj bracia złożyli projekty. Projekty te okazały się pierwszorzędnej wartości. Jednakże z dwóch tych projektów, Karola został wykonany. Na wszystkich polach w życiu, Karol zwyciężał Piotra, chociaż ten w niczem mu nie ustępował. Ot tak się jakoś dziwnie składało. Wreszcie Piotr postanowił wywędrować. Osiedlił się w miejscowości, oddalonej o 1000 kilometrów od miejsca pobytu Karola. Jednakże zazdrość, jaką pałał Piotr w stosunku do Karola, zaczęła przybierać coraz ostrzejsze formy. Wreszcie zaczął przemyśliwać nad morderstwem. Mając dużo bujnej wyobraźni, widział się z bronią w ręku, popełniającego bratobójstwo. Wreszcie dnia 15 sierpnia b. r. przybiegł wczesnym rankiem na posterunek policji i zameldował wzburzonym tonem, że zabił swego brata. Miał on pchnąć swego brata ze schodów tak nieszczęśliwie, że ten padł martwy na dole, w sieni, z roztrzaskaną czaszką. Ponieważ jednak, w ciągu ostatniej doby, żaden podobny wypadek śmierci nie zaszedł w całem mieście, policja oddała Piotra pod obserwację lekarską, jako niepoczytalnego.

W kilka dni później nadeszła wiadomość, że Karol, mieszkający w mieście, oddalonem od miejsca pobytu Piotra o 1000 kilometrów, dnia 15 sierpnia, o godzinie 7-ej rano, wyskoczył z tramwaju tak nieszczęśliwie, że padł martwy z roztrzaskaną czaszką. U Piotra jednakże już przedtem skonstatowano objawy choroby umysłowej.

*

Przed paru laty miał miejsce bardzo ciekawy wypadek w jednem z niewielkich majątków. Właściciel majątku, sparaliżowany na obie nogi, mieszkał sam w swym domu, mając tylko do pomocy służącą i nawpół głupiego furmana... Pewnego dnia został w lesie zamordowany i obrabowany poborca podatków. Denat otrzymał kilka uderzeń tępem narzędziem, poczem trup pozostał na miejscu spełnionej zbrodni.

W dwa dni później zaaresztowano furmana pod zarzutem morderstwa. Aresztowany niewypierał się zbrodni. Przeciwnie, opisał ją z wszelkiemi szczegółami, dodając, że to nie pierwszy raz dokonał podobnego napadu. Pieniądze natomiast oddawał swemu panu, który był podżegaczem i organizatorem napadów. Rozkazy otrzymywał od swego pana w szczególny sposób. Mianowicie pan jego wpatrywał się weń swem ostrem wejrzeniem, wymawiając przytem cicho jakieś słowa, których on nigdy nie mógł zrozumieć. Również w ten sam sposób pouczał go jak należy zatrzeć za sobą ślady zbrodni. Ostatnio jednak pan jego wydawał polecenia tylko wzrokiem, nieruszając wcale wargami. Również i służąca w ten sam sposób otrzymywała wszelkie zlecenia. Ostatni rozkaz, otrzymał od swego pana w dzień zbrodni, to znaczy na dwa dni przed swem aresztowaniem.

Po tem zeznaniu udała się komisja śledcza do domu właściciela majątku. Wszystkich na wstępie uderzyła dziwna cisza. W pokoju zastano właściciela, siedzącego nieruchomo w fotelu, tak jak to zresztą zeznał furman. Jakież jednak wszystkich ogarnęło przerażenie, kiedy stwierdzono, że w fotelu siedzi trup. Po zbadaniu przez lekarzy, stwierdzono, że właściciel majątku nie żył już od czterech dni, czyli zmarł na dwa dni przed dokonaną zbrodnią.

Ponieważ furmanowi nie było przedtem wiadomo o pobycie poborcy podatkowego w okolicy, należy przypuszczać, że taki rozkaz i szczegóły wyczytał ze wzroku zmarłego.

*

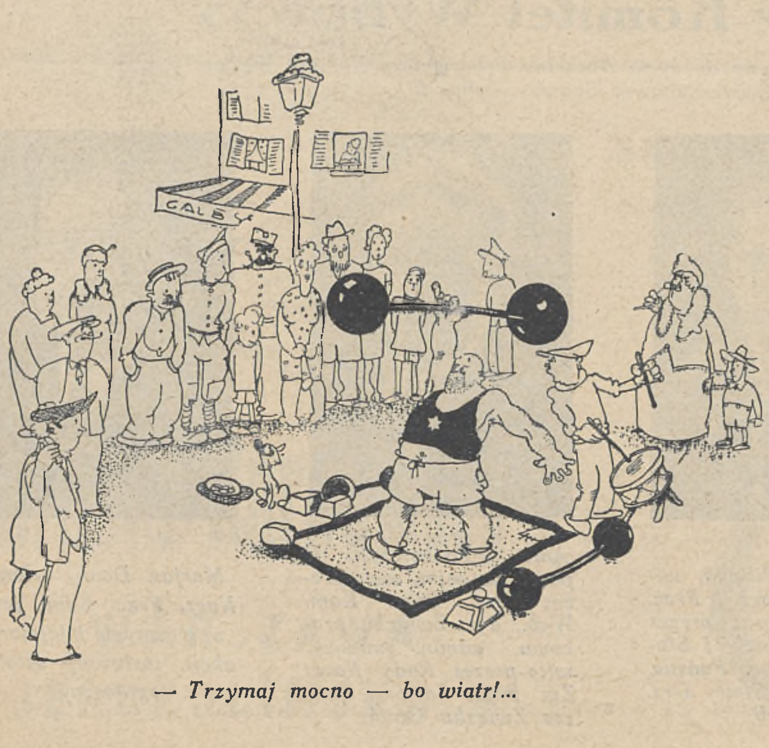
Dwa powyższe wypadki do dnia dzisiejszego nie są należycie wyjaśnione. Niemożna tego nazwać ani hypnotyzmem, ani autosugestją. — Wkracza to raczej w granicę zjawisk telepatycznych, zarówno Piotr, który przedstawił ze szczegółami moment śmierci brata, jak i furman kierowany wolą swego pana działali zupełnie podświadomie. W pierwszym wypadku musiało nastąpić pewnego rodzaju skojarzenie się myśli Piotra o mordzie z faktem śmierci, który ze ścisłością fotograficzną odbił się w mózgu szalonego. Furman zaś, który jak stwierdzono, był kilka dni nieobecny w domu przed popełnieniem zbrodni, powrócił na skutek wysiłku woli swego pana, działającego z łatwością na prymitywny umysł swego służącego. — Pomimo, że zastał swego pana martwym, wyczytał w jego wzroku rozkaz do popełnienia zbrodni.

Zachodzi więc teraz pytanie, czy myśl ludzka pozostaje przy doczesnej powłoce ludzkiej, czy też krąży dookoła niej, zmuszając bliźnich do jej zrozumienia?

Jest to tajemnicą, o której odkrycie napróżno łamią sobie głowy najwięksi uczeni i psycholodzy?

Miejmy jednak nadzieję, że niespokojny i żądny poznania duch ludzki zedrze tajemną zasłonę ze zjawisk nas otaczających, a dotychczas niczem niewytłumaczonych.

HUMOR ZAGRANICZNY



— Trzymaj mocno — bo wiatr!...



— O, przepraszam... Widzę, że przyszedłem nie w porę z ofertą na maszyny do zastąpienia stenotypistek...

Wśród książek

Wacław Gąsiorowski.—Pani Walewska, powieść historyczna z czas. napoleon., wyd. IV Domu Ksiąki Polskiej, Warszawa, 1930.

Czy da się powiedzieć coś nowego o pięknej tej powieści, którą my wszyscy, ze starszego pokolenia, czytaliśmy może po parę razy? Czy można cośkolwiek dorzucić do tak wielu pochwalnych recenzyj, jakie dano o „Pani Walewskiej"? Jedno chyba — a rzecz ta, niestety, jest charakterystyczna dla ciężkich warunków, w jakich rozwija się, a właściwie dusi nasze piśmiennictwo — iż zdobyto się dopiero na IV-e wydanie książki, która w innym kraju byłaby drukowana w setkach tysięcy egzemplarzy.

Stanisław Poraj. — Walka o Pomorze; Bibljoteka strzelecka, Warszawa 1930.

Krótko i zwięźle ujęte studjum historyczne w przejrzysty sposób wyjaśnia doniosłe znaczenie, jakie od wieków przypisywaliśmy dostępowi do morza i popularyzuje wśród szerokich mas, dla których jest przeznaczone, konieczność przywiązania do polskiego Bałtyku. Broszura ta winna dotrzeć do każdego domu, zwłaszcza w chwili, gdy propaganda niemiecką usiłuje dowieść całemu światu, iż państwu niemieckiemu stała się wielka krzywda, przez stworzenie t. zw. korytarza i może nam grozić rewizja traktatów.

Witold Bunikiewicz. — Rapsod Mazowiecki. — Wydawnictwo Polskie R. Wegnera — Poznań 1930.

Autor cudnych liryk i ballad, piewca żywotów świętych i żywotów djabłów polskich wzbogacił nasze piśmiennictwo nowym tomem pięknych „rozmów z ziemią" mazowiecką. Czego niema w tym rapsodzie, którym nas uraczył? Stare klechdy — że wspomnimy tylko o lodowej księżniczce, o trzech zbójnicach, o panu Junoszy, o djablich konkurach — podane są w kunsztownej formie poetyckiej i okraszone staropolskim, niefrasobliwym humorem. Piękny ten cykl zakończony jest pieśnią o trębaczu Musiale, co choć sto lat sobie liczył, a może i więcej — codziennie grał jeszcze pobudki i fanfary. Grał stary Musiał, jak mu przykazał pan rotmistrz Piwnicki — a

...„Po mazowieckich polach ogromne leci granie,
Aż z dźwięków człek niejeden zrozumie i odgadnie,
Co się nowego stało i czynić jak wypadnie".

Gdy wreszcie w pewien jesienny, chmurny wieczór wyszedł Musiał stary, utrudzon wypadkami i walką z wrogiem-wydziercą, co wtargnął na Mazowsze — serce mu pękło... Lecz choć umilkło to biedne serce — „widmowy trębacz" codziennie przygrywał ludowi, aż ...niedawno, w noc jesienną, jak przed mnogiemi laty,
Buchnęła pieśń i wstrząsła do posad ludzkie chaty,
Triumfem krająć niebo, grzmiąc radość aż do szału,
I zmilkła, dokończywszy zwycięski rytm finału.

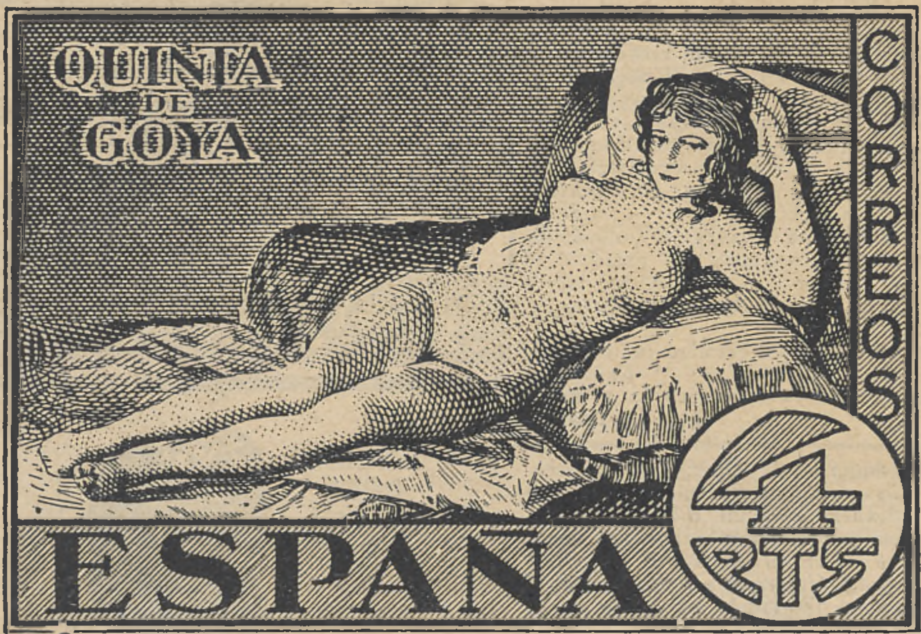
Sztuka Kochania wedł. Owidjusza, w wolnym przekładzie Juljana Ejsmonda ukaże się wkrótce w pięknem wydaniu albumowem, na dochód synków przedwcześnie zmarłego poety z inicjatywy i staraniem komitetu przyjaciół ś. p. J. Ejsmonda. (Informacje i przedpłata — w biurze komitetu, Warszawa, ul. Zgoda Nr. 4, m. 18, u p. dyr. Br. Mańkowskiego).

Przypominamy Sz. Czytelnikom i Czytelniczkom, że przeczytane pisma ilustrowane, książki i niepotrzebne już a niezniszczone podręczniki szkolne — należy składać do Tow. Opieki Kulturalnej nad Polakami zamieszkałymi zagranicą im. Adama Mickiewicza, Warszawa, Ordynacka 5 m. 5, tel. 90-94, które wyśle je do szkół, bibljotek i czytelń polskich zagranicą, aby broniły naszych braci od wynarodowienia.









[redacted]

NIEZWYKŁA MARKA POCZTOWA

[redacted]

Żadnemu z filatelistów nie przyszło z pewnością do głowy, iż będzie mógł wzbogacić swą kolekcję tak niezwykłą marką, jaka została wypuszczona w Hiszpanji ku czci słynnego malarża Goyi.

Nie kierujemy się w danym wypadku pruderją, ale sądzimy, że wyobrażenie nagiej postaci na marce pocztowej jest doprawdy niewłaściwe, choćby nawet autorom tego pomysłu przyświecał tak szlachetny cel, jak przypomnienie o jednym z największych malarzów świata. Czyżby Goya nie namalował w życiu dzieła conajmniej równej wartości, jak słynna „La Maja Desnuda"?

Chodziło tu może o co innego, a pomysł w takim razie uważać należy za dość złośliwy w stosunku do żyjącego jeszcze obecnie rodu książąt Alba.

Oto bowiem dzieje tego obrazu związane są z pewnem zabawnem zdarzeniem Osobą, wyobrażoną na „La Maja Desnuda", jest Dona Marja Teresa, księżna Alba, która zgodziła się pozować Goyi do aktu. Czy księżna sama opowiedziała o tem, którejś z przyjaciółek, czy też może Goya okazał się niedyskretnym — dość, że sprawa ta stała się przedmiotem plotek na dworze królewskim i dotarła do wiadomości księcia małżonka.

— Uszy pacykarzowi obetnę! — krzyczał z pasją, szykując się do rozprawy.

A „pacykarz" Goya, uprzedzony o zamiarach księcia, ukrył niedokończony obraz i z pamięci — w ciągu jednej nocy — namalował portret księżny, w pysznym stroju. Ten obraz właśnie demonstrował nazajutrz księciu, który wyszedł z pracowni rozradowany.

Portret ten, zwany „La Maja Vestida", wisi obok aktu w Prado.



„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE — I WILNIE

Prenumerata krajowa wraz z przesyłką: kwartalna: 5.50; półroczna 10.50, roczna 20 zł. Prenumerata zagraniczna: kwartalnie 8 zł., półrocznie 15.50 zł., rocznie 30 zł. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Chmielna 35. Telefon 525-85. Konto P. K. O. 19-447. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.

Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1 200, ½ strony zł 600, mniejsze podług ilości milimetrów, 1 m m 1 szpaltowy zł. 1 50, układ 3-szpaltowy. Klisze ogłoszeniowe, zajmujące więcej, niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe. Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI. Wydawca: „PRASA ILUSTROWANA" S-ka z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 717-98 i 504-46.